Nieszczęście chodzi przy ludziach

Było południe. Promienie palącego słońca odbijały się od piasku oraz skał, boleśnie rażąc oczy. Stanąłem w cieniu uschniętego drzewa i spojrzałem na skuloną przede mną postać. Obdarte ubranie i oparzenia sprawiały, iż mężczyzna z tej odległości wyglądał jak obleczony wyschniętą skórą szkielet. Prawdę mówiąc, zaimponował mi. Po trzech dniach, spędzonych w takim upale bez żadnej wody, miał jeszcze siły na ucieczkę.

- Nie! Zostaw mnie! Odejdź stąd! – wykrzyczała wychudła postać tarzająca się po piaszczystej ziemi. - Czego ty ode mnie chcesz?

Głupiec. Nie potrafił zrozumieć, że nadal posiadał coś, na czym mi zależało. Nadszedł czas, aby go uświadomić. Przybliżyłem się o jakieś pół metra i lekko przechyliłem głowę.

- Nie patrz tak! Nie podchodź! Zbliż się jeszcze, a cię zabiję!

Posłałem pełne litości spojrzenie kulącej się teraz przede mną postaci. Trochę mi go było żal. Przyłączyłem się do niego prawie dwa miesiące temu. Na początku był bardzo przyjazny - jak każdy. ł się ze mną z trudem zdobywanym jedzeniem, przykrywał się jednym kocem w zimne, pustynne noce. Przez jakiś czas taki stan rzeczy odpowiadał mu całkowicie i zdawał się być naprawdę bardzo szczęśliwy. Kilka razy mu nawet pomogłem, ale nie był tego świadomy. Problemy jak zwykle pojawiły się, gdy dotarliśmy do większego skupiska ludzi. Wtedy nastały "wypadki". Długo tam nie zagościł. Po trzech dniach musiał uciekać przed kilkoma poszkodowanymi osobami. Postanowił przyłączyć się do karawany. A ja? Nie mogłem przecież zostawić swojego niedawno poznanego przyjaciela. Ruszyłem razem z nim. I właśnie wtedy wszystko zaczęło się psuć...

Zaczął się domyślać. W końcu każdy odkrywa prawdę. Jedni wcześniej, inni później. Z moim ostatnim przyjacielem spędziłem ponad rok. On chyba jednak wiedział od dłuższego czasu, zanim na zawsze się rozstaliśmy. Za bardzo się do mnie przywiązał. To jest ta okropna wada ludzi - gdy się do czegoś przyzwyczają i to polubią, to później obawiają się nawet samej myśli o utracie swojej ukochanej rzeczy. Kiedyś spotkałem człowieka, który zorientował się, zanim zdążyłem do niego podejść. Gdy tylko mnie zobaczył, wziął nogi za pas. Szkoda, że nie udało mi się go dogonić...

Zrobiłem kolejny krok naprzód.

- Zostaw mnie w spokoju! Czego ty chcesz?!

Kolejny krok.

- Ostrzegam cię! Wiesz, że nie będę się wahał!

Uśmiechnąłem się lekko i zrobiłem minę w stylu "przecież doskonale wiesz, że ci się nie uda". Kiedy w końcu ten człowiek zrozumie, że mnie nie można tak łatwo zabić? Przecież już

próbował. Raz nożem, później tasakiem. W akcie desperacji rzucił nawet dynamitem, ale to nie był za dobry pomysł. Mnie oczywiście nic się nie stało, ale przez przypadek zabił jednego z członków karawany, z którą wtedy podróżowaliśmy. Jeszcze nigdy nie widziałem, aby człowiek tak szybko uciekał...

Zrobiłem następny krok.

Mężczyzna wyciągnął zza pleców swego srebrnego Magnum kaliber 44. Ten sam rewolwer, który czyścił, oliwił, rozbierał i składał w każdej wolnej chwili. Ten sam, który pomógł mu ujść z życiem z niejednej barowej awantury... Była to jego jedyna broń, której używał tylko w krytycznych sytuacjach. Teraz mężczyzna leżał dwa metry przede mną. Powoli wyciągnął rękę. Wycelował prosto w moją głowę i po krótkiej chwili wahania wystrzelił. Potem drugi raz. I trzeci, czwarty, piąty... Pięć strzałów i ani jeden nie trafił. Pomiędzy każdym kolejnym robił coraz większą przerwę.

- Nie! Nie! Przecież to nie możliwe! Jak udało ci się uniknąć kul?! Ty... przecież nie mogłeś... Powiedz mi, za co!? Za co do cholery TY mnie spotkałeś?! – z przerażeniem w głosie i wyraźnym niedowierzaniem na twarzy człowiek wypuścił z rąk broń i skulił się jeszcze bardziej.

Podszedłem do niego i położyłem na ziemi jeden nabój. Kaliber 44. Zawsze, gdy spotkałem nowego przyjaciela, zabierałem mu jeden pocisk z jego broni. Trzymałem go właśnie na taką okazję.

Zrozumiał. Nie było dla niego ratunku. Ucieczka nie miała już żadnego sensu. Przegrał i pogodził się ze swoim losem. Wziął nabój do ręki i pokiwał ze zrozumieniem głową. Nie miał żadnego wyboru. Dałem mu jedyną szansę na rozstanie się ze mną. Raz na zawsze. Bez większego pośpiechu odwróciłem się i z poczuciem spełnienia dobrego uczynku ruszyłem prosto przed siebie.

Po chwili usłyszałem huk. Tak, to był ostatni celny strzał oddany przez mego przyjaciela. Odwróciłem się bez większego pośpiechu. W oddali na ziemi leżało bezwładne ciało martwego człowieka. Tak jak u każdego, komu podarowałem ostatnią szansę, mężczyzna umarł z wyrazem dziwnej ulgi i szczęścia na twarzy.

Dziwne, niektórzy ludzie twierdzili, że to przekleństwo, skaza, jakiś wybryk natury bądź nienaturalnej mutacji. Ja jednak uważam, że to dar. Wspaniały dar, który jest całym moim życiem. To jemu zawdzięczam swoje imię, pod którym jestem znany. Ci, do których się przyłączałem, zawsze po jakimś czasie zaczynali mnie tak nazywać. Były różne wersje, ale najbardziej spodobało mi się określenie mojego pierwszego przyjaciela: „Pechowy Pies”. Nie mam zbyt wiele wspólnego ze zwykłym kundlem, ale... Czyż to nie piękne imię?

Z zadowoleniem zamerdałem ogonem i ruszyłem na południe. W stronę głównego szlaku handlowego. Teraz nie pozostało mi nic innego, jak tylko znaleźć sobie nowego przyjaciela...

Piotr ‘Sajdon’ Szpakowski - Marzec 2004